

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

4 Ale zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy przerwał, jak gdyby wylekniony ich brzmieniem i spojrzał nieśmiało na bankiera, upatrując na jego twarzy znaku zniescierpliwienia, lub też ironicznego uśmiechu.

Ale żadne z tych uczuć nie ujawniło się w zachowaniu pana Versigny. Pochylił tylko głowę na znak, że zrozumiał i czeka słów dalszych. Widząc jednak, że Włodzimierz Guzow milczy dalej uporczywie, odezwał się poważnie:

— To jest bardzo interesujące. No, dalej, panie Guzow, objaśnij mi lepiej tę rzecz.

I wtedy młody człowiek mówić zaczął. Rozpoczął od życia swojego, powiedział, że pochodzi z Kaługi, gdzie ojciec jego był popem. Wysłany na naukę do Moskwy, ukończył tam wyższą szkołę i uniwersytet, zdradzając zawsze żywe zdolności i zamiłowanie do badań przyrodniczych.

W dwudziestym piątym roku życia wykładał już na uniwersytecie chemię organiczną. Pracował w czasie wyjątkowym, bo pośród zmagających rewolucjonistycznych, które wybuchły podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

Włodzimierz Guzow był człowiekiem spokojnym, zatopionym w ulubionej swojej nauce, niezdolnym do czynów gwałtownych, jednakże byłby sam pogardzał sobą, gdyby nie brał udziału wraz z kolegami swoimi w osiągnięciu ich ideału wolności i swobody i gdy przystąpił do propagandy reform pewnych, mających na celu ulżenie nędzy ludu rosyjskiego — został uznany za niebezpiecznego człowieka w granicach swojego kraju.

Zaareztowany wraz z dwudziestoma towarzyszami tego samego poglądu, wtrącony został do więzienia i stawiony przed sądem. Na szczęście Włodzimierz Guzow żył w przyjaznych stosunkach z woźnym uniwersytetu, tajnym konfidentem policji rosyjskiej, którego córkę wyleczył z anemii i który wezwany jako świadek, wydał o nim pochlebne świadectwo.

Nie zasądzono go na śmierć, jak to uczyniono z jego kolegami, lecz deportowano na Syberię do robót kopalnianych.

Włodzimierz Guzow pozostał tam trzy lata w Gursku, małym miasteczku, zagubionem wśród stepów malarycznych.

Początkowo użyty był, jak wszyscy więźniowie, do eksploatacji w kopalni grafitu, dość licznej w tych stronach.

Pod nahajką kozaków, pełniących służbę dozorców — stał dziesięć godzin z rzędu, pogrążony do pól ciała w lodowatym błocie, wdychając trujące gazy, bijące ze źródeł i moczarów.

Zazwyczaj na czterech ludzi, zajętych przy takiej czynności, z końcem roku ginie trzech.

Guzow cieszył się wyjątkowo silną organizacją ciała i nabawił się tylko na początku roku drugiego silnych bólów reumatycznych i febrę, a że czyniono usilne starania, dla polepszenia mu bytu i w elektrowni Gurska brakowało właśnie operatora, przydzielony został na tę posadę.

Dzięki więc temu mógł dalej prowadzić rozpoczęte jeszcze w Moskwie badania naukowe o fabrykacji dyamentów. Podjął kilkakrotne doświadczenia, wszystkie z jak najlepszym rezultatem.

Nareszcie, po jakimś czasie został ulaskawiony i dostał pozwolenie na pobyt w Petersburgu. Jednakże od tego czasu czuł się dziwnie przygnębionym w ojczystym kraju i postanowił udać się do Paryża. Miasto to nęciło go zawsze jako centrum cywilizacji świata.

Obecnie przebywał w Paryżu już od trzech miesięcy w charakterze preparatora w laboratorium chemicznym, gdzie mógł projekt swój udoskonalić i doprowadzić do pożądanego rezultatu.

Włodzimierz Guzow, kończąc to opowiadanie, wyciągnął stary portfel z kieszeni i z bocznej przegródki wyjął drobny kamyczek o szorstkiej powłoce.

— Oto moja większa próba! — rzekł, podając skarb swój bankierowi Versigny — Nie jest jeszcze oszlifowany, ale choć w takim stanie nie różni się niczem od prawdziwych kamieni. Posiada wartość ośmiu do dziewięciu franków. Przyznaję, że odkąd go mam w rękach, miałem kilkakrotną sposobność sprzedania go. Nie jestem bogaty — dodał śmiejąc się szczerze Guzow — wcale nie jestem bogaty, ale jednak sądziłem, że przedewsz-

kiem powinienem wynalazkiem moim podzielić się z kimś, nieprawdaz, panie Versigny?

Bankier długą chwilę ważył kamień na dłoni, przyglądając mu się z zajęciem.

— Pozwoli pan na jedno pytanie? — rzekł nagle — Zaznaczam jednak, że wierzę w wiarygodność słów pana, chociaż zdarzało się, że największe uczeni mylili się w swoich przypuszczeniach. — Oświadczył pan przed chwilą, że dyament ten posiada wartość blisko tysiąca franków. W takim razie więc, skoro w warunkach, w jakich się pan znajduje, jest pan w stanie wytworzyć więcej takich kamieni, a działa pan dalej sam, bez niczyjego współudziału, może pan w krótkim czasie stać się panem wielkiej fortuny!

Uśmiech rozjaśnił bladą twarz Włodzimierza Guzowa.

— Uwaga pana, panie Versigny, jest słuszna — odpowiedział z największą swobodą — a właściwie mogłaby być słuszną, gdybym nie żył i pracował w wyjątkowych okolicznościach. Przedewszystkiem pobyt mój na Syberii wpłynął bardzo źle na moje zdrowie. Cierpię na silne duszności i bicia serca i życie moje jest niepewne. Muszę się spieszyć z moim odkryciem. Niech tylko pan nie sądzi, że gram rolę ofiary losu, ale powtarzam panu, jestem naprawdę śmiertelnie dotknięty niezwalczoną chorobą. Jeden z moich przyjaciół, współziomków, doskonali lekarz, zaręczył mi tylko za rok życia. — Więc rozumie pan teraz, dlaczego nie mogę dalej sam działać i muszę powierzyć moją sprawę komuś drugiemu? Chcę jeszcze panu powiedzieć, że nie pracowałem z myślą o sobie. Niema we mnie ani chciwości, ani nazbyt wysokiej ambicji. — Jestem uczonym, a nauka daje mi dotąd wszelkie zadowolenie. Tylko przekonawszy się, że marzenia moje realną przybierają postać, pomyślałem, że obowiązkiem moim jest użyć wynalazek mój do wyższych, szlachetniejszych celów. Pragnę go poświęcić i dać jak największą ilość szczęścia najbiedniejszym, których cierpienia są mi znane.

Zmęczony i wzruszony wywołaniem ukochanej swojej idei, Włodzimierz Guzow umilkł nagle, dysząc ciężko.

Bankier Versigny z podziwem i zainteresowaniem patrzył w jego twarz pobladłą.

— Niech pan odpocznie — prosił go serdecznie — Ta dłuższa rozmowa wyczerpała pana.

— To nie! — szepnął młody człowiek potrząsając głową — Zresztą, kończę już. Musiałem więc wynaleźć człowieka, któremu zwierzyć się mogłem. Człowieka wpływowego i majątnego i który również obdarzyłby mnie taką wiarą, by mógł zaryzykować poważniejszą sumę. Temu człowiekowi powiedziałbym: Przynoszę bez żadnych zastrzeżeń sposób powiększenia pana majątku. Proszę wykorzystać go dla siebie. Wymagam tylko, aby pan użył tego środka w godnym celu, nie jak spekulant, lecz jak człowiek rozumiejący nędzę ludzką. By pan miliony, które z czasem napłynąć mogą, podzielił w części między najbardziej potrzebującymi bez różnicy narodowości i wyznania i jeszcze po swojej śmierci zabezpieczył ich należycie. Zadanie to pracowite, ale warte celu — nieprawdaz?

Jerome Versigny zamyślił się głęboko.

— Będziemy razem w tym kierunku pracować — rzekł po dłuższej chwili milczenia — od tej chwili oddaję panu do dyspozycji potrzebne sumy. Pan mnie objaśni, co mam robić. I zaręczam panu słowem uczciwego człowieka — jeżeli po raz pierwszy przystępuję z wiarą i zaufaniem do sprawy podobnej, to dlatego, że dotąd nikt tak do mnie nie przemówił, jak pan, panie Guzow. Znalazł pan we mnie człowieka, którego pan szuka — dodał, serdecznym ruchem wyciągając do niego rękę.

Włodzimierz Guzow w obydwie swoje dłonie chwycił tę rękę i uściśnął gorąco. Był tak wzruszony, że tak, jak na początku swojej rozmowy, nie mógł i teraz słowa wymówić.

— Oh! Dziękuję... dziękuję... — wyszeptał w końcu z trudem — Marzenie mojego życia urzeczywistniło się nareszcie...

— Niech pan nie dziękuje, panie Guzow — przerwał poważnie bankier Versigny — Powtarzam, zdobył pan sobie całkowite moje zaufanie i wiarę.

— Ale jeżeli wynalazek dla przyczyn mi nieznanych okazać się może bezwartościowy?

— Nie mam tej wątpliwości, przeciwnie przekonany jestem silnie, że doświadczenia pana są poważne i cenne. W każdym razie nawet przedsięwziął pan pracę ciekawą i niemałej wagi. To mi wystarczy.

Włodzimierz Guzow wyjął z kieszeni marynarki grubą zeszyt popielaty i kładąc go na biurku, rzekł jeszcze:

— Oto dokładny opis moich doświadczeń. Zawiera pierwsze moje poszukiwania, badanie materiałów potrzebnych, postęp pracy i w końcu warunki, w jakich otrzymałem ten pierwszy kamień. Pozostawiam panu ten dyament wraz z zeszytem. Przy pomocy tych notatek, każdy chemik, cokolwiek uzdolniony, zdoła dalej podjąć fabrykację kamieni. Pragnę tylko, aby pan te notatki przeczytał i zapamiętał, a najlepiej będzie, jeżeli pan zechce ten zeszyt u siebie zachować. Bo na wypadek mojej śmierci, niechże choć pan będzie właścicielem mojego sekretu. Wielka szkoda by była, gdyby miał zagać, nie wydawszy owoców należnych.

Sir Archibald Graves.

Od czasu tej rozmowy Jerome Versigny stał się współnikiem i opiekunem finansowym odkrycia Włodzimierza Guzowa.

Wielkie i śmiałe myśli młodego uczonego podbiły go zupełnie i choć wątpił może w doprowadzenie do rzeczywistego rezultatu szerokich jego planów — jednak uznawał, że zasługiwały na poparcie i zajęcie.

Wszystkie prawie wolne godziny od zwykłych zajęć swoich biurowych poświęcał pracy swojego protegowanego, dla którego czuł coraz wyższy szacunek i podziw.

Jednakże nie chciał, aby sprawa łącząca go z Włodzimierzem Guzowem stała się głośną. Posługiwał się korespondencją, rozmową telefoniczną, telegramami, w nagłych wypadkach zgadzając się na osobiste widzenie się z nim.

Był bowiem zdania, że najmniejsza nieostrożność, mogąc ujawnić sekret tak cennego odkrycia, byłaby zgubną dla całego przedsięwzięcia. A ponad wszystko Jerome Versigny obawiał się bystrego oka angielskiego milionera, sir Archibalda Graves.

Wiedział, że tenże już oddawna, jeszcze przed jego poznaniem z Włodzimierzem Guzowem — czekał tylko na sposobność, aby mu mózdz zaszkodzić w jego operacjach finansowych.

Archibald Graves i wszyscy jego współnicy trustu angielskiego, byli to ludzie, którzy nie odrzucali żadnych środków, kiedy chodziło o dopięcie raz zamierzonego celu. Poznał to Jerome Versigny i został już raz ostrzeżonym o zamiarach Archibalda Graves.

Jednego dnia tenże najniespodziewaniej zjawił się w jego biurze. Rozmowa ich była zastrzona i poważna.

Archibald Graves kazał się woźnemu zameldować pod przybranym nazwiskiem, a chociaż Versigny nie znał go jeszcze osobiście, domyślił się z wyrazu twarzy muskularnej i dumnej i nieugiętego spojrzenia, że ma przed sobą sławnego króla finansowego.

Archibald Graves usiadł, nie będąc do tego zaproszonym i przystąpił bez zwłoki do swojego celu, wyrażając się krótkimi, jasnymi i stanowczymi zdaniem:

— Panie Versigny! — rzekł — Nie chciałem wyjawiać prawdziwego nazwiska mojego woźnemu pańskiemu. Ludzie nie powinni wiedzieć, że tu przyszedłem. Jestem Archibald Graves, prezydent „Trustu dyamentowego“.

Urwał i przeczekał chwilę, badając wrażenie, jakie to oświadczenie mogło wywołać na przeciwniku, lecz Versigny nie drgnął nawet i tylko ruchem ręki poprosił go o podjęcie dalszej rozmowy.

— Jesteśmy obydwaj ludzie, którzy wiedzą, do czego dążą — podjął dalej sir Archibald Graves — Albo uważamy kogoś za swojego sprzymierzeńca, lub też nieprzyjaciela. Co do mnie, jeżeli mam nieprzyjaciela, staram się zawsze uczynić jego działalność nieszkodliwą dla siebie. Panie Versigny, proponuję panu zgodę, albo wojnę. Zaznaczam przytem, że muszę pana uważać za człowieka godnego szacunku, skoro podjąłem się wobec pana tej misji, którą obarczyło mnie Towarzystwo trustowe. Przechodzę więc do pana, ja, Archibald Graves i proponuję panu ugodę.

Spojrzenie Anglika z poza jego krzaczastych brwi błyszczało niepokojącym światłem.

Versigny spojrzał na niego swobodnie i odparł, pomalutką cedząc słowa:

— Czy przypuszcza pan, sir Archibaldzie Graves, że uleknę się chociaż na chwilę przed temi groźbami. Mówi pan o szacunku, ale widocznie pan mnie nie zna dobrze.

— Nie czynię żadnych przypuszczeń, ale jestem dobrym graczem. Przedstawiam panu nasze zapatrywania, właściwie moje zapatrywania. Oznajmiam więc panu, że Towarzystwo generalne kopalń francuskich przeszkadza nam bardzo w działaniach. — Chcemy sobie wyrobić wpływ całkowity i nieza-